

Zabytki TO TWOJE
DZIEDZICTWO
nie pozwól niszczyć
reaguj



Marcin Wroński

fot. Grzegorz Winnicki

Maryja z zebra Adamowego

(z cyklu Śledztwa Herberta Szadena)

www.zabytki-reaguj.nid.pl

– No i patrz pan, jaka chwała Bogu! Widać, że za moje pieniądze. – Pan Bułaś powiedział to szorstko i nieprzyjaźnie. Jednak w ramię klepnął mnie niczym bliźniego swego.

Kombinezony jego pracowników z daleka było czuć kurnikiem, ale i podstawy budowlanki mieli opanowane. Polak, Ukrainiec i jeszcze jeden, którego wcześniej nie widziałem, pewnie Białorusin, bo nawet w roboczych szmatach wyglądał na umytego. Rozumieli się bez translatorów, jak to nad Bugiem. Zrywali bruk sprzed kościoła i rzucali na ciężarówkę.

Szła na stos przedwojenna trylinka i ocalate gdzieniegdzie kocie łby może i z dziewiętnastego wieku. Czekający na paletach polbruk był nowy, gładszy i ładniejszy, zwłaszcza że w kolorach szaro-czerwonon-żółtym jak koszulki piłkarzy KS Buł-Drob.

– Zostało z remontu podjazdu pod fermę – fundator uśmiechnął się szeroko. – Ja tam lubię kupić więcej, bo to taniej, i sobie schować, bo... – Chwilę szukał słowa, żeby przebiegle zakończyć aforyzm.

Nie przeszkadzałem mu. Czekąłem, aż Bułasiowi wyjdzie żyłka na skroni.

– ...bo stać pana – pomogłem wtedy.

– No! – Znów mnie klepnął. – I bo zawsze mówię, że prędzej czy później się przyda. No i co? Przydało się. Tylko tę tam paletę mus było dokupić. Ale niech tam! Ładnie jest, co?

Było przepięknie, a nawet koherentnie. Tego jednak nie powiedziałem na głos, tylko kiwnąłem głową. Jeżeli coś było świetlistym punktem w gminno-szarym Szkodyniu, to wyłącznie baner z żółtymi kurczakami i czerwonym napisem „Buł-Drob. Kurka jak z podwórka!”. Kościół z pociemniałej cegły pasował niczym pięść do nosa. Miałem za mało wyobraźni, aby uwierzyć w Trójcę Świętą, ale że zobaczę, jak ten pseudogotytek ocieplają styropianem, a potem malują trójkolorowe pasy... Tak, nie miałem złudzeń, to się stanie jeszcze za mojego życia, jeżeli tylko będę brał leki. I jeżeli pan Bułaś znowu będzie potrzebował pogodzić się z proboszczem Maklarkiem.

– Eee, szef-eee! – zamachał w naszą stronę jeden z robotników. Poznałem go niedługo po przyjeździe, kiedy poszczał mnie psami. Jego córka pracowała w barze i też miała wadę wymowy, dlatego nigdy nie wiedziałem, czy chce być uprzejma, czy napluła mi do piwa.

Coś im nie poszło, może tom nie dał rady. Stanęli nad opornym kamieniem jak Polak, Ruski i Niemiec ze starych dowcipów. Pan Bułaś ruszył w ich stronę, więc poszedłem jego śladem. Do otwarcia księgarni została mi jeszcze prawie godzina, miałem czas. I byłem ciekaw.

Pięć metrów od drzwi kościoła leżała wrośnięta w ziemię stara żydowska macewa. Niekompletna, bo półkolisty przyczółek z wyrzeźbionymi ptakami po obu stronach musiały kiedyś zdobić jakieś wystające elementy. Jeden wyłupano głęboko, razem z fragmentem steli. Drugi wyglądał jak pieńek złamanego zęba.

– No i co? – Pan Bułaś niby zapytał robotników, ale spojrzał na mnie, jakbym był dziennikarzem z mediów polskojęzycznych. Albo czymś gorszym. – No a skąd to tutaj?

Jego pracownicy zgodnie wzruszyli ramionami. Ja nachyliłem się, żeby obejrzeć macewę.

– Pan to zabiera, ja nie chcę mieć nic wspólnego – usłyszeliśmy zza pleców.

Proboszcz Maklarek zbliżył się cicho niczym esbek. Teraz gniótł palce i patrzył podejrzliwie na sponsora tych robót. Bułaś rozłożył ramiona jak do błogostawieństwa.

– No chyba nie myśli ksiądz, że mu to na złość podrzucitem.

– Ja tylko myślę, że do niedzieli obiecał pan skończyć, a już czwartek! I kiedy klucze do kościoła oddadzą?

– Ksiądz z powątpiewaniem popatrzył na niedokończony schodek przed progiem.

Odszedłem na bok, żeby im nie przeszkadzać w wymianie uprzejmości. Lecz gestykulowali na siebie krótko, robotnicy nie zdążyli nawet wypalić papierosów. Wreszcie Bułaś kazał macewę zabrać na pakę, ale postawili ją osobno, z wyczuciem i z dala od gruzu.

– No, ludzie pracują, a pan tylko stoi i się gapi. – Pan Bułaś wrócił do mnie.

– Wie pan, to ciekawe, że kościół i macewa...

– Panu czasu nie szkoda?

Pokręcitem głową. W Szkodyniu wszystkim było czegoś szkoda, ale nie mnie, bo do szkód przywykłem. Jeżdżę škodą i nazywam się Szaden, a to też szkoda, tylko po niemiecku. Mam też imię: Herbert, ale tak do mnie nie mówcie, chyba że przestanę brać prochy i zacznę pisać wiersze.

*

W księgarni miałem spokój i z nudów mogłem pisać. Nikt nie przychodził zapytać o Olgę Tokarczuk ani nawet Rudnicką, dziś tylko sklepowa wpadła kupić zeszyt. Być może tego nie wiecie, ale w Szkodyniu zeszyt jest potrzebny do zakupów z odroczoną płatnością i pewniejszy niż karta kredytowa.

A jednak instynkt mi szeptał, że coś się wydarzy. To właśnie powiedziałem Samancie, kiedy do mnie zajrzała. Nie zbliżało się żadne święto, więc i ona miała mało klientek do strzyżenia.

– A wzięłeś leki? – zaniepokoiła się. – I gdzie byłeś rano?

– Na spacerze, pod kościołem, na zakupach... – zacząłem wyliczać.

– No bez kitu!

– Naprawdę, kawę nam kupiłem.

– Mówię o kościele, nie ebaut szoping, Szaden. Co ty znowu sobie drimisiz?

– Jeżeli o czymś marzę, to tylko o tobie, kochanie. – Uśmiechnąłem się jednym kącikiem ust. Z papierosem w pysku wyszłoby lepiej.

– Krejzi! – Potargała mi włosy. – Lecę, bo idzie pan Bułaś. – Pokazała mi go przez witrynę. – Pewnie do mnie.

Pomyliła się tym razem. Jeszcze nie zdążyła zająć miejsca za fotelem fryzjerskim, gdy niespodziewany gość nagle skręcił i pchnął drzwi mojej firmy. Był czerwony na twarzy i poruszał szczęką, jakby żut wulgaryzmy.

– Mam do pana sprawę, panie Szaden.

– Księgi Jakubowe? – zasugerowałem najdroższą książkę, jaką miałem na regałach.

– Jakubowe czy inne, wszystko jedno. Dawaj pan całą półkę! Bo musisz mi pan pomóc, panie Szaden.

Właśnie tak prowadzę interesy w Szkodyniu, inaczej księgarnią nie zarobiłbym nawet na czynsz. Jednakże tym razem sam byłem zaskoczony sprawą, z którą przyszedł.

– Chodzi o Matkę Boską, Szkodyńską! Wchodzę do kościoła, a rzeźby nie ma. No to pytam tego klechę, co się stało, a ten jak się nie zaczerwieni, jak nie zacznie na mnie wrzeszczeć! Rozumie pan, że niby skoro miałem klucze, to ukradłem. A to podobno zabytek. Ile mogła być warta?

Zamknąłem drzwi na klucz i poczęstowałem Bułasia papierosem. Jak skazańca.

– Widzi pan, panie Bułaś, z zabytkiem jest odwrotnie niż z kobietą: generalnie im starszy, tym cenniejszy. Ale nie ma reguły, bo po nas jak walec przejechały się wszystkie możliwe wojny, dlatego byle co jest u nas atrakcją historyczną. Czytałem, że zabytek to znak pamięci, to DNA narodu, że bez zabytków zapomnimy, kim jesteśmy. Ale czy ja wiem... Na takim południu Francji albo we Włoszech, co wioska, to ma pan zamek, a rolnik opiera pług o rzymski relief. Albo robi sobie oczko wodne w miejscu jakiejś antycznej sadzawki.

– Antycznej sadzawki, mówi pan? – zapytał, jakbym zawrócił go z otchłani rozpacz.

– Przykładowo. Chodzi mi o to, że tam Matka Boska Szkodyńska nie byłaby żadnym zabytkiem. Tak że moralnie, panie Bułaś, nie musi się pan przejmować. Karnie owszem, ale przecież pan zamąci i niczego panu nie udowodnią.

– Ale to figura Szkodyńskiej. Ludzie zeżrą mnie, jak klecha podpuści.

– Co do tego, to owszem. Nic nie poradzę.

– Poradzi pan. – Bułas powiedział to z terapeutyczną mocą, jakby naprawdę we mnie wierzył. – Poradzi pan, a ja panu jeszcze doptacę, chociaż tym razem nic nie zrobitem. Nic, słowo honoru. Zrobi pan to dla mnie?

Zgodziłem się kłamiwie. Niczego nie zamierzałem robić, tylko czekać na rozwój wypadków, bo to w Szkodynium zwykle było najlepszą metodą. Nie pomyliłem się. Kiedy zamykałem księgarnię, wśliznął się proboszcz Maklarek.

– Panie Szaden, niech mi pan powie, czy to prawda, że jest paragraf nie tylko na tego złodzieja Bułasia, ale też na mnie? Że nie dopilnowałem?

– Niestety – rozłożyłem ręce. – A także na tego, kto przerabia, nie zgłasza robót budowlanych w otoczeniu zabytku, odnawia po tanioci i tak dalej.

– Matko Boska! – jęknął.

– A, tak, tak, i to szkodyńska! – dobiłem go z najwyższą przyjemnością. – Zabytków, proszę księdza, najbezpieczniej w ogóle nie dotykać. Ale my i tak mamy szczęście, że przez zabory, wojny, u nas dawno wszystko rozkradzione albo popalone. Niech ksiądz pomyśli o takich Francuzach albo Włochach. Tam mają zabytek obok zabytku, strach się obrócić.

*

Zawsze cenilem odwiedziny mistera Bulattiego. Spojrzenia jego goryli sprawiały, że zaraz zdejmowałem nogi z biurka i nabierałem kultury osobistej. Plik spracowanych dolarów na mym porysowanym blacie z miejsca powodował uprzejmy uśmiech. Burkliwy głos Bulattiego także działał cuda. Słyszałem o gościach, którzy na ten dźwięk przypominali sobie nazwiska współników, chociaż goryle jeszcze nie podpięli kabli do akumulatora ani nawet tym facetom nie rozpięli spodni. Co do mnie, przy Bulattim nabierałem inteligencji i wiary w łut szczęścia, chociaż na czterolistną koniczynkę to on nie wyglądał.

– Nie rozczarujesz mnie tym razem, Bert – prorokował, a ja byłem w siódmym niebie, że ktoś tak we mnie wierzy.

– Mówię ci, Bert, że nie oplota ci się mnie rozczarować.

– Jak pan sobie życzy, panie Bulatti.

– Żebyś wiedział, że tak właśnie sobie życzę, Bert.

W ciszy słyszałem tylko skrzydła wentylatora krojące gęste powietrze. Potem trzask zapalniczki, którą mój miły gość zapalił cygaro.

– MacClaren – wycedził, wypuszczając z pyska kłąb dymu.

– Ksiądz MacClaren?

– A znasz innych MacClarenów, Bert?

Nie znałem żadnych, nikt w Pity Town nie znał. Znalіśmy tylko strzelbę, którą nasz duchowny trzymał w konfesjonale na poskromienie grzeszników. Ksiądz MacClaren i mister Bulatti nie kochali się, chociaż byli bliźniami. Podobnie zabiegali o rząd dusz. Oraz o moje usługi.

Wieczór jak zwykle zapijałem w barze. Byłem smutny, wypatrywałem diabła na dnie szklanki i nawet nogi Sam nie robiły na mnie wrażenia. W Mieście Aniotów również miewałem takie chwile, co dopiero w Pity Town. Nie pomyślałem, że dobry kaznodzieja czeka na takie chwile niczym anioł stróż.

– Mam dla ciebie robotę, Bert – usłyszałem znienacka.

Ksiądz MacClaren siedział przy stoliku tyłem do mnie i gdyby nie wypowiedział mojego nazwiska, przysięgłbym, że komentuje na głos Biblię.

– Proszę nie mówić, wielebny, że znowu chodzi o Bulattiego.

– A znasz inne demony w naszym pięknym i pobożnym Pity Town? – zapytał trzymaną w dłoniach książkę. Przed nim na talerzu stygł stek z kurczaka, a w szklance zimne piwo powoli zmieniało się w szczynę. – Znasz innych takich, Bert? – Napił się, upuszczając na podłogę trzech prezydentów Grantów.

Wiedział, że mogłem nie zauważyć, kiedy wszedł, ale na szelesty jestem wyczulony niczym indiański tropiciel.

Osobliwe, powiedziałyby ktoś z klasą. Osobliwe, że obaj zwrócili się do mnie w tej samej sprawie. Patrząc na Biblię wielebnego, pomyślałem, że gdyby swego czasu Kain i Abel też na to wpadli, obaj zaoszczędziliby sobie kłopotów.

*

Do soboty był względny spokój. Bułaś wynalazł coś pilnego do zrobienia u siebie na posesji, czyli doskonały pretekst, żeby przerwać prace przy układaniu polbruku. Ksiądz Maklarek wywiesił ogłoszenie, że z powodu opóźnienia remontu niedzielna msza święta będzie wyjątkowo odprawiona w kaplicy na cmentarzu. Byłem zadowolony, że dzięki mnie obaj trzymali się w szachu. Z początku nowego kryminatu jeszcze bardziej, bo Samanta lubiła sceny barowe z sobą w głównej roli drugoplanowej.

– Ent tot hapens nekst? – dopytywała.

– Zobaczysz. – Mówiłem tajemniczo, nie mając pojęcia.

Coś wymyślić jednak musiałem, bo burza wisała w powietrzu. A przede wszystkim musiałem się upewnić, czy o zaginionej Matce Boskiej nie dowiedział się nikt poza nami trzema.

Pomyślałem o starej Kurzakowej. Była wariatką, wszędzie chodziła z kura jak z psem, ale nic w Szkodyniu nie umykało jej uwadze. Pretekst podsunął mi kalendarz. Skoro zbliżała się niedziela, poszedłem kupić od niej rosół. Staruszka warzyła najlepszy i dorabiała nim do renty, podobno to tradycja rodzinna Kurzaków.

Nie było jej w domu, więc odgadłem, że znajde Kurzakową przy figurze na skraju lasu. Zastałem ją w szale twórczym, bo akurat wspinała się na palce i po chwili sapnęła z satysfakcją. Kura zaprzestała dreptania u stóp posągu, by zagadać z satysfakcją. Pędzel akuratnie utrafił w lewy policzek Matki Boskiej. Gdyby rozmazać, miałyby wypieki jak po sianokosach. Niestety, emalia kryje na gładko, więc Madonna przypominała kurtyzanę z czasów Kościuszki.

– A pan co?! – krzyknęła Kurzakowa. – Za jakie grzechy się skrada na zgubę narodu na wysokości? No bo nie modlić się chyba?

– Nie modlić, popatrzeć.

– No to niech patrzy, jak musi. I nie przeszkadza na zatracenie wieczne.

Figurka stała na ospowatym kamiennym cokole pomalowanym na zielono. Żeby było ładniej, pięty się po niej todygi sztucznych kwiatów. Praktycznie, pomyślałem, bo prawdziwe zwiędłyby od zapachu starej farby do lamperii. Teraz takich nie robią i po wakacyjnym remoncie szkoły wszystkie bachory dostają ADHD, zamiast przez tydzień snuć się powoli, otumanione.

Kurzakowa zabełtała pędzlem w rozpuszczalniku, wytarta i zanurzyła we wściekłym błękiecie. Maryja skuliła się pod swym płaszczem, ramionami osłaniając Dzieciątka. Figura wiedziała dobrze, co ją czeka. Znać to było po tuszczącej się starej warstwie farby, tylko gdzieniegdzie po wieki wżartej w kamień.

– Po co pani to robi, pani Kurzakowa? – zapytałem z troską, ale i tak się obraziła.

– Po co? Po co? – Włazła na stołeczek i chlapnęła zdrowo emalią. – Żeby pięknie było. Bo piękno na to, żeby zachwycało na odpuszczenie grzechów.

– Pani zna Norwida? – zdziwiłem się.

– Jakiego? Nie znam, bo i na co, bój się pan Boga!

Kura też spojrzęła na mnie spode łba.

– A ksiądz zdrowy, pani Kurzakowa? Bo dawno nie widziałem...

– Mizerny, mizernutki, błady jak święty, niewyspany jak po czuwaniu zdrowaś. – Otarta tzę. – No to rosołku zaniostałam, żeby podjadł, no i do figurki. Tak, tak, babusia malowała, mamusia malowała, to i ja maluję. No bo kto zabroni, pocieszycielko nasza? – Uwijała się z pędzlem, jakby zakontraktowała zohydzenie jeszcze pięciu kapliczek, a termin gonit. – Pan to jesteś nowy, to głupi, nic nie wiesz. Kurzaki wszystkie pobożne z dziada pradziada, świętej pamięci wieczne odpoczywanie... Jak po wojnie Ruskie wszystko zabrały, rozkradły, to kościółek pusty by stał jak stodoła jaka, jakby nie tatuś mój na wspomnienie wiernych i za Żydów perfidnych niczym Ewę z żebra Adamowego... Długo będzie stał i jęzorem pytlował faryzejskim swoim?

– Broń Boże! – Złapałem się za głowę. – Tylko tak długo, póki pani nie skończy, bo ciekaw jestem.

– Ciekaw, ciekaw... – burczała, wykańczając brzegi płaszcz Madonny. Z pędzla ani jej kapnęło, byłem pod wrażeniem. – Grzech, grzech...

Nie wiedziałem, czy zdiagnozowała mnie właściwie, ale na pewno szybciej niż moja terapeutka. Złazła ze stoteczka i zatkała puszkę z farbą. Widowisko skończone, uznałem z żalem, bo w Szkodyniu nie ma wielu rozrywek. Zaskoczyła mnie jednak, bo nie zabrała jeszcze kury pod pachę, tylko wyciągnęła z kieszeni wygniecione pudełko. Zanurzyła w nim palce i z uśmiechem pierwszokomunijnej dziewczynki sypnęła w górę złotymi gwiazdkami. Konfetti postusznie oblepiło płaszcz Matki Bożej.

– I co powie? – Teraz z kolei Kurzakowa była czegoś ciekawa.

Nic nie powiedziałem, bo jak już pewnie zauważyliście, jestem złym człowiekiem.

*

Do księdza poszedłem w nocy.

Nasz proboszcz często powtarzał, że kto śpi, nie grzeszy. Tym bardziej zaciekawiło mnie strapienie Kurzakowej. Nie zamierzałem jednak pukać o tej porze, w końcu nie byliśmy umówieni. Zaszedłem od tyłu plebanii, ale światło zobaczyłem przez wąskie okno garażu. Musiałem się wspiąć na podmurówkę. Na szczęście poprzedni proboszcz gustował w kratkach okiennych, więc miałem się czego trzymać.

Więcej wiem o whisky niż o sztukach pięknych, ale jeżeli prowadzisz księgarnię w takim miasteczku jak Szkodyń, to z nudów przeczytasz nawet Udrękę i ekstazę. Przypomniałem sobie tę książkę, bo oto ujrzałem księdza Maklarka w roli Michała Anioła!

Matka Boska Szkodyńska stojąca nie we wnęce głównej nawy, lecz na stole montażowym, wyglądała na znacznie mniej cudowną. W ogóle inaczej wyglądała. Jej twórca nadał wprawdzie rys głębokiej zadumy twarzy Maryi, ale Dzieciątko Jezus mało go obchodziło. Tylko drobne wypukłości, może wygładzone upływem czasu, dawały wyobrażenie o nosie czy ustach. Nie było na czym skupić wzroku, bo i nie było po co. Kiedy Jezus podrośnie, to pogadamy, póki co kłękajcie przed Matką Najświętszą, tak odczytywałem ideę rzeźby. Dotychczas.

Teraz dzieciątko miało wyraźną i dobrze znaną twarz. Twarz księdza Maklarka. Identyczną jak z witraża sprzed roku, na którym w otoczeniu świętych wyobrazil samego siebie. Tyle że z witraża był dumny, a figura najwidoczniej napętniała go wstydem. Sądząc po tym, co wałało się na betonowej posadzce, ksiądz Maklarek od kilku dni usiłował przywrócić Dzieciątku nijakość i zniszczyć dzieło życia. Nakładał gips, ale ten niestety nie wiązał

dobrze. Próbował cementu, lecz cement, schnąc, zmieniał kolor i trzeba go było skuwać. Gdy zacząłem robić zdjęcia komórką, proboszcz rozpoczął eksperymenty z zaprawą wodoszczelną i pigmentami.

Nie miałem śmiałości dłużej kalać twórczej samotności artysty. Ale nie miałem skrupułów przed wyrwaniem ze snu pana Bułasia.

– Matka Boska i on?! – Nawet jemu trudno było uwierzyć, chociaż mało którego szwindla w gminie nie oglądał na własne oczy.

– Matka Boska Szkodyńska i Maklarek jako dzieciątko Jezus. Dziwię się, że to pana dziwi.

Siedzieliśmy w biurze pana Bułasia, bo do domu takich jak ja nie wpuszczał. Na jednej ścianie wisiał pomniejszony baner z „kurką jak z podwórka”, na przeciwległej szalik i proporczyki Buł-Drobu Szkodyń. Mój gospodarz też miał swój gust.

– I on na mnie to? Że ja?!... – Aż musiał chlapnąć wódki. Był bardziej wrażliwy, niż sądziłem. Umiął wyłgać się z każdego słusznego zarzutu, lecz niesprawiedliwe podejrzenia bolały go niczym ciernie. – Jakby pieniądze leżały na stole, zgoda, głupi by nie wziął. Pan pierwszy byś wziął! – Złapał mnie za kłapy. Myślałem, że przytuli. – Ale dobro narodowe? – Puścił. – Ja tam na książki nie mam głowy, pan wie, panie Szaden, ale ze szkoły coś niecoś pamiętam. O biskupach, co nas w zabory wpędzili. Do dziś klechy sumienia nie mają. Ale żeby taki zabytek?!

– Stara ta Matka Boska?

– A jaka ma być?!

– Ma sto lat? Dwieście? Więcej? – Zacząłem szacować w głowie skalę przestępstwa.

– A co pan? Teleturniej? Pewno, że więcej! – Bułas łomotnął pięścią w biurko. – Ale dokładnie to skąd mam wiedzieć? Jak chodziłem do szkoły, to była komuna i takich rzeczy nie uczyli. Dobra, sprawiłeś się pan jak nie pan, panie Szaden. Teraz mam klechę w garści. I zdziwi się pan, jak zaśpiewa!

– Nie zdziwię się, panie Bułas – zapewnięm. – Już od kilku lat bardzo mało mnie dziwi. Panu jednak radziłbym odpuścić. Przestraszyć i odpuścić.

– To pan już nie pamięta, że mnie prokuratorem straszyl? Mnie, jak ja całą gminę żywię?! Sam będzie miał prokuratora!

– Niech pan da spokój – niemal poprosiłem. – Na pana miejscu naprawdę dałbym spokój. Jak już pan musi, wystarczy zawiadomić konserwatora zabytków.

– O! – Bułas uśmiechnął się do mnie paskudnie, czyli na pewno szczerze. – Znowu pan powiedział coś mądrego, panie Szaden. Jak nie pan!

*

Mister Bulatti i ksiądz MacClaren mierzyli sobie nawzajem między oczy, pierwszy z czterdziestki piątki, drugi ze strzelby Remingtona. Co do mnie, usiadłem z boku i zapaliłem papierosa. Gdyby któryś wystrzelił, nie zmartwiłbym się zbytnio, bo swoją forszę dostałem od obu. Postawiłbym jednak sto dolców, że żaden nie pociągnie za cyngiel. Niestety, miałem pecha, bo nie było z kim się zaktadać.

– Jesteś sukinsynem, MacClaren, i to głupim sukinsynem, jeżeli myślisz, że twój Bóg tego dotąd nie zauważył – wycedził mister Bulatti.

– Sam jesteś sukinsynem, makaroniarzu, i nie strasz mnie imieniem bożym nadaremno – odparował ze spokojem duchowny. Lufa mu nie drgnęła.

Gestem poprosiłem Sam, żeby nalata drinka. Jej dłoń drżała lekko. Uśmiechnąłem się cynicznie i od niechcenia

popatrzyłem palce Sam. Lubitem myśleć, że hipnotycznie działałam na wszystkie kobiety od Big Apple po Miasto Aniotów. Natomiast nie lubitem myśleć, że tak działa na nie widok dwóch i pół funta złota. Bardzo tego nie lubitem, bo rzadko miewałem w kieszeni więcej niż dwadzieścia dolców.

Na stoliku pod oknem stała figurka w rodzaju tych, które czerwonoskórzy pijacy podający się za Indian z plemienia Hopi sprzedają na festynach innym podpitym frajerom. Różniła się tylko wagą i kolorem bezwstydnie odbijającym blask zachodzącego słońca. Myślę, że nikt z nas nie datby rady tego wytrzymać, gdyby wielebny nie zdążył nałożyć na korpus gliny. Od stóp do torsu przypominała bowiem figurkę w rodzaju tych, które biali pijacy podający się za kaznodziejów sprzedają trzeźwym frajerom po dwóch męczących godzinach przyzywania Ducha Świętego.

– Jesteś głupim irolskim sukinsynem, MacClaren, i mniejsza o to, czy przejrzał cię Bóg, skoro ja cię przejrzałem – ciągnął z jadem mister Bulatti. – To złoto należy do Pity Town, któremu to ja daję pracę, ja je karmię i ubieram.

– Wznoszę ręce do Pana – zakpił ksiądz – gdy na moich oczach nawraca się taki chciwy sukinsyn jak ty, Bulatti. Celuję do ciebie, wyłącznie byś nie zapomniał o pojednaniu ze Stwórcą. Masz rację, to złoto należy do Pity Town, któremu jesteś wrzodem na tyłku i wyrzutem sumienia.

Poprosiłem Sam o dwa drinki i postawiłem je przed moimi klientami. W takiej dziurze jak Pity Town prywatny teps musi być pocieszycielem strapionych, rozjemcą zwaśnionych, a czasami także większym sukinsynem niż tamci razem wzięci.

Mister Bulatti wypił, nie tracąc z oka celu. Ksiądz MacClaren ze swoją cięższą armatą wolał nie ryzykować. Już wiedziałem, kto odwiedzi mnie przed zaśnięciem. I że, niestety, nie będzie to Sam.

– Dasz mi namiar na swojego człowieka u federalnych, Bert – zażądał mister Bulatti. Miotał się po biurze, które od jakiegoś czasu było także moją sypialnią, z wściekłością rannego kojota.

– Jak pan sobie życzy, ale osobiście odradzam. Federales to nie szeryfi.

– Wiesz, Bert, że kiedy mówisz, to masz pysk jak złota rybka?

Pokręciłem głową, bo nigdy jeszcze nikt nie powiedział mi równie wyszukanego komplementu.

– Dlatego nic mi nie radź, tylko spełniaj życzenia. Czekam na ciebie jutro rano, no chyba że nie będziesz żył. Wtedy wybaczę ci spóźnienie.

*

Pojęcia nie miałem, że powiatowy konserwator zabytków nazywał się Jarema Olcza-Dniewski. Faceci z takimi nazwiskami żyją jak nie we Warszawie, to przynajmniej blisko cywilizacji, i może nawet po dziś dzień noszą jedwabne fulary. Ten nie miał nawet krawata ani marynarki, tylko T-shirt i kurtkę z kapturem. W dodatku golił łeb na tysią pałę, a w ramionach był szeroki raczej nie od książek. Nawet pana Butasia to zgorszyło, kiedy zobaczył, kto na jego podjeździe wysiada z beemwicy.

– Tylko niech pan sobie nic złego o mnie nie pomyśli – zaznaczył, ściskając dłoń konserwatorowi. – Ja nie donoszę na ludzi, nigdy. Ale są granice, proszę pana, są jakieś granice... – mówił, prowadząc gościa w stronę trawnika, a ja powoli szedłem za nimi.

Olcza-Dniewski zdążył mi wprawdzie podać rękę, lecz ja przedstawić mu się nie zdążyłem. Nieprzesadnie ciekawito mnie jednak, czy wyszedłem na gburę. Bardziej interesujący był tok myśli pana Butasia.

– Zabytek to przecież dla narodu jak krew w żyłach, jak... Jak pan to mówiłeś, panie Szadene? – odwrócił się do mnie łaskawie. Ktoś naiwny wzięłby mnie w takiej chwili może nawet za zaufanego asystenta. – E! Przypomniałem sobie bez pana, jak DNA, panie Jarostawie...

– Jaremo.

– Przepraszam pana, to po prostu... Aż mnie nosi! Bo chodzi o to, panie Jar... panie konserwatorze, że to nie może tak dłużej być, aby skarby naszej kultury... Tak rzadkie, bo w kraju, przez który historia przetoczyła się jak spychacz... – Byłem pod wrażeniem, że tyle zapamiętał z mojego krótkiego wykładu. – Tak rzadkie, no to i cenne, bo u nas przecież nie jakaś Francja, gdzie jakiś zwykły rolnik opiera sobie pług o kamień z Rzymu albo inny refiel...

– Relief – szepnąłem.

– Nie przeszkadzaj pan, panie Szaden!... A u nas przecież oprócz Matki Boskiej Szkodyńskiej nie ma nic! Gorzej jak na pustyni, bo tam u Arabów to chociaż piramida czasem sterczy. Dlatego musiałem, no musiałem pana powiadomić. Proszę, usiądźmy, to wszystko wyjaśnię. – Wskazał zastawiony ogrodowy stolik.

– O kurwa! – jęknął Olcza-Dniewski.

Wcale mu się nie dziwiłem.

Bezwiednie powiedziałbym, a przynajmniej pomyślałbym to samo, gdyby wcześniej pan Bułaś zaprosił mnie dalej niż na próg biura swojej fermy. Gdyby czarował mnie nie tylko biznesem żywiącym całą gminę, lecz także ekscentrycznym gustem.

Stół ugiął się od wędlin własnej roboty, ciast spod ręki żony, drobiowych przysmaków własnego pomysłu i od wódki tylko ordynarnej, bo z akcyzą. Nawet PSL nie zrobiłby lepszego bankietu, ale nie o to chodziło. W tyle, w złotej proporcji między domem a ogrodzeniem pan Bułaś miał oczko wodne. Takie jak należy, z miniaturowymi szuwarami i małym wodospadem. Woda spływała po ptakach siedzących nad źródłem życia i obryzgiwała hebrajskie litery.

– Czym chata bogata! – Pan Bułaś uśmiechnął się i gościnnym gestem zaprosił do stołu. Nawet mnie.

– Skąd pan to ma? – wycedził konserwator.

– A, ten kamień? Walał się pod kościołem. Ciekawy, prawda? A kiedy obrośnie mchem, to ja tutaj jeszcze każę...

– Jest przedwojenny szkic. I zdjęcie. Pan wie, ile lat tego szukamy? – Konserwator spojrzał na pana Bułasia tak nieludzko, że wreszcie zaczął przypominać urzędnika. – To jest macewa żony cadyka Fojgla Szkodynera.

– Macera czy nie macera, ale jak nie już ma Żydów, to czy ja wiem, komu potrzebna...

– U szczytu powinny być akroteriony – Olcza-Dniewski wskazał uszkodzone miejsca. – Co pan z nimi zrobił?

– Niech pan coś powie, panie Szaden – nakazał mi Bułaś.

Nic nie powiedziałem. Zapartem się mojego klienta. Każdy by tak postąpił, nawet niejeden święty.

*

Agent specjalny O'Morning nie wyglądał jak dzień dobry. Wysiadł wymięty jazdą z nowego buicka w kolorach zgnitej zieleni i wrednej żółci. Gdybym wypił więcej niż jedną whisky przy myciu zębów oraz piwo do lunchu, przypomniałbym misterowi Bulattiemu, kto się uparł wywoływać kojota z prerii. Ponieważ byłem trzeźwy, zatkałem sobie gębę papierosem. I z ufnością skazańca czekałem na rozwój wypadków.

– Bulatti i ty, Bert, we własnych osobach! – O'Morning strzyknął brązową śliną w żółty pył pokrywający Main Street naszego uroczego Pity Town. – Na dziesiątej mili pomyślałem nawet, jaki shit, że mam tylko jedne kajdanki! Zawracać, nie zawracać? Nie zawróciłem. Teraz widzę, że jesteście przyjaciółmi, no to hallelujah! Skuję was razem, a jeżeli ktoś się sprzeciwia, niech powie teraz lub zamilknie na wieki.

– Nie mam nic wspólnego z tym sukinsynem – zastrzegł z góry mister Bulatti. – To tylko interesy.

– I ja w tej chwili rozwalilibym mu łeb, O'Morning, gdyby nie wzgląd na obecność agenta rządowego

– powiedziałem bez mrugnięcia okiem. – To tylko interesy.

– Osobliwie mieć do czynienia z dżentelmenami na tym zacycu! – ucieszył się nasz miły gość. – Istnieje tu jakiś bar?

Bar istniał, ufaliśmy też w łaskę boską, której widomym znakiem były ciężarówki dowożące do Pity Town wodę święconą z etykietami Bourbon&Whiskey. Przy stoliku O'Morning zdjął marynarkę, nie krępiąc się ani nisko rozlanymi plamami potu, ani potężną spluwą pod pachą. Nam też nic co ludzkie nie było obce.

– Musi pan wiedzieć, agencie O'Morning, że jeśli chodzi o mnie i o moich ludzi, to nikt nie łamie prawa federalnego. Może stanowę najwyżej, ale... Wyjaśnij, Bert.

– Ale to nie jest przecież prawo, tylko prawko – wyjaśniłem. – Zgodzisz się zapewne, O'Morning, kiedy wypijemy. Nic nie powiesz, bo jesteś agentem rządowym, ale zgodzisz się w głębi serca.

– Wypiłem. – Nasz gość odstawił pustą szklankę. – Nic nie powiedziałem jako agent rządowy, a co mam w głębi serca, to nie twój pieprzony interes, Bert. Jednak słucham panów z uwagą, skoro jako obywatele najlepszego kraju na świecie byliście uprzejmi złożyć doniesienie agencji, która mi płaci.

– Doniesienie złożył mister Bulatti – zastrzegłem na wszelki wypadek.

– A to, Bert – agent z rozkoszą wypił kolejną whisky – jest szczegół, który mnie akurat w shita obchodzi.

To samo bez mrugnięcia okiem powtórzył kilka godzin później, gdy towarzyszyłem księdzu MacClarenowi. Im więcej z nami pił, tym jaśniej patrzył i nie robił problemów. Wiedział, co to jest konflikt interesów, i że właśnie z powodu tego drobiazgu w Los Angeles odebrano mi licencję. Rozumiał jednak, że skoro w Pity Town nie ma więcej prywatnych detektywów, tylko człowiek bez sumienia mógłby odmówić komuś drobnej szpiclowskiej postugi.

*

Co do księdza, tylko najadł się wstydu. Matki Boskiej Szkodnyńskiej nie było w rejestrze zabytków, a ja przypomniałem sobie, co Kurzakowa mówiła o swoim ojcu i „Ewie z żebra Adamowego”. Bełkotliwie i niezbyt kanonicznie, lecz z sensem. Nawet Olcza-Dniewski był pod wrażeniem mojej dedukcji, bo rzeczywiście zgadzał się i materiał, i wielkość naszej cudownej figurki – wyrzeźbionej zaledwie siedemdziesiąt kilka lat temu z odłamanego fragmentu macewy żony cadyka. Jak żydowska stela trafiła przed kościół, łatwo zgadnąć, skoro pod koniec wojny kirkuty służyły głównie za składy materiałów kamieniarsko-brukarskich. Szczęśliwy traf, że ocalała względnie cała.

Dzięki temu pan Bułaś wyłgał się tylko karą administracyjną, co osobiście uważałem za sukces, lecz on był odmiennego zdania.

– Sam zawiadomił pan konserwatora – przypomniałem mu wreszcie.

– Bo pan żeś mnie namówił, panie Szaden. Pan! – Wycelował we mnie palec niczym lufę czterdziestki piątki.

– I nie myśl pan – wysapał – że szybko zapomnę. Pamięć to my w Szkodyniu mamy dobrą.

Że krótką, nie dodałem. Po prochach popitych whiskaczem zawsze staję się zgodnym człowiekiem. Noc spędziłem sam, bo z kolei Samanta obraziła się na mnie za biedną starą Kurzakową, która za kapliczkę też dostała pięć tysięcy w trybie administracyjnym. Tłumaczyłem, że nie ma się czym przejmować, skoro staruszka jest niewyptalca, lecz moja wrażliwa ukochana tylko trzasnęła drzwiami. Następnego dnia rano posprzątałem z chodnika przed księgarnią okrucy rozbitej witryny, a posprejowane wejście odmalowałem. Z braku klientów dokończyłem swój kryminat.

Nie zaskoczyło mnie, że wydawca go odrzucił. Mój ulubiony redaktor Filip Modrzejewski, którego nie widziałem na oczy, lecz czułem w nim bratnią duszę człowieka równie podłego, skreślił nawet kilka uprzejmych zdań:

Marcin Wroński - Maryja z żebra Adamowego
(z cyklu Śledztwa Herberta Szadena)

Zabytki TO TWOJE
DZIEDZICTWO
nie pozwól niszczyć
reaguj

www.zabytki-reaguj.nid.pl

Bardzo nam miło, że wziął Pan sobie do serca nasze uwagi o tym, jak nużące są papierowe postacie w rodzaju mistera Bulattiego oraz księdza MacClarena, i tym razem postanowił wyostrzyć intrygę. Żałujemy tylko, że popadł Pan z konwencjonalnej nudy w skrajne nieprawdopodobieństwo charakterystyczne dla autorów, którzy uparli się pisać o Indianach, chociaż nie widzieli ich na oczy. Pozwolę sobie zasugerować rezygnację z prób literackich na rzecz innej dziedziny sztuki, w ostateczności podjęcie tematu wziętego z życia, np. dotyczącego niszczenia polskich zabytków.

Nie zamierzałem i nie zamierzam postuchać jego życzliwej rady. Jak powiedziałem księdzu Maklarkowi, zabytków najbezpieczniej nie dotykać.

